



**Ignacy Sarnecki** urodził się w 1929 roku w Zieluniu. W latach 1946–1947 walczył w antykomunistycznym podziemiu zbrojnym, należał do oddziałów leśnych ROAK, służył pod rozkazami Stanisława Balli, Stefana Sarneckiego i Franciszka Wypycha, działających na styku Mazowsza i Pomorza. Posługiwał się kolejno pseudonimami „Przybysz”, „Lopek”, „Kruk”. W trakcie amnestii w marcu 1947 roku został ciężko postrzelony przez pijanego funkcjonariusza UB. W latach 1947–1951 był więziony na Mokotowie. Przebywał w celi m.in. z Hieronimem Dekutowskim „Zaporą” i jego żołnierzami. Obecnie mieszka w Wałbrzychu.

## Zostały nam las i walka – relacja Ignacego Sarneckiego

**N**a naszym terenie podczas II wojny działały Armia Krajowa oraz Bataliony Chłopskie, ani Armii Ludowej, ani Gwardii Ludowej u nas nie było. Po wojnie, w okresie rozwiązywania się Armii Krajowej, gdy ogłoszono amnestię, którą potem nazwano pierwszą amnestią, wielu jej żołnierzy się ujawniło, ale też liczni się nie ujawnili i po prostu wrócili do domów, licząc na to, że ich wojenna działalność jakoś się ukryje. Jednak niektórzy, nieufni wobec nowych struktur państwa, pozostali w lesie, utrzymując kontakt z rodzinami. Oprócz tych dwóch grup była jeszcze jedna – żołnierze, co podczas wojny byli w konspiracji, ale nie w oddziałach, bo co innego być w regularnym oddziale, a co innego w konspiracji. Żołnierz z oddziału partyzanckiego, zwłaszcza z AK, jeśli chciał normalnie żyć,

to zgodnie z wymogami pierwszej amnestii miał się ujawnić, ale ten z konspiracji, jeśli nikt go nie wydał i nie został zdemaskowany, mógł ujawnienia uniknąć. Już wkrótce się pokazało, jakie realne skutki dla żołnierzy Polskiego Państwa Podziemnego przyniosła pierwsza amnestia.

Akowcy, którzy się ujawnili, i żołnierze powracający z polskiego wojska walczącego na Zachodzie, dość szybko się przekonali, że funkcjonariusze nowej władzy nie zamierzają im dać spokoju. Nękanie zaczęło się od tego, że jak się ujawniał ktoś z Batalionów Chłopskich, jakiś partyzant, zaraz dostawał stanowisko, i miał spokój od UB i MO, natomiast na innych, szczególnie z Armii Krajowej, robiono nagonki. Miejscowi wiedzieli przecieź, kto się ujawnił. A wkrótce zaczęły się aresztowania i wywózki do obozów przejściowych, któ-

re często tworzone w tych samych miejscach co niemieckie obozy, do więzień polskich i do ZSRR. Ci, którym udało się uciec z sowieckich transportów zmierzających w głąb Związku Radzieckiego, schronili się w lesie. Bo dokąd mieli pójść? Ale czasy się zmieniły, to już nie była okupacja niemiecka, gdzie człowiek wiedział, kto jest kim i po której stronie kto stoi. Nowa władza miała inne metody inwigilacji i powodowała nowe zagrożenia – wielu ludzi po prostu bało się nieść pomoc poszukiwanym ze względu na represje, które mogły ich dotknąć; inni pozostawali bierni, woleli stać na uboczu wydarzeń, przeczekać, nie narażać się niczym; a była też grupa podlizująca się funkcjonariuszom władzy ludowej, donosząca, denuncjująca i w dodatku otrzymująca za to zapłatę w różnych formach – od tzw. świętego spokoju po pieniądze. ➤



Weźmy na przykład organizację „Strzelec”. Przed wojną ludziom ze „Strzelca” się kłaniało, szanowało się ich; po wojnie, jeśli UB czy NKWD złapały kogoś ze „Strzelca” – rozstrzeliwały. No to młodzież wychowana patriotycznie też uciekała do lasu. Drańskie działania NKWD i Urzędu Bezpieczeństwa na naszych terenach wpędziły ludzi do lasu, jednych, czyli takich, którzy już walczyli z Niemcami – znowu, innych, tzn. skrzywdzonych lub prześladowanych przez nową władzę – dopiero. Kolejne osoby przymuszane przez rozlewający się w Polsce terror komunistyczny zasilaly leśne oddziały. I tak powstał nasz ROAK – Ruch Oporu Armii Krajowej. Na początku mieliśmy dwóch wrogów: UB i NKWD, ale w krótkim czasie, kiedy do Milicji Obywatelskiej komuniści ściągnęli obcych nam ludzi, z innych stron kraju, bo najpierw w MO pracowali miejscowi, którzy z reguły zajmowali się sprawami natury kryminalnej i przeważnie przytykali oko na „polityczne” nieposłuszeństwo ludzi przeciwko władzy, to doszedł trzeci wróg – MO właśnie, a z czasem czwarty – ORMO [Ochotnicza Rezerwa Milicji Obywatelskiej]. Sprawa z piątym elementem terroru, tj. z regularnym

wojskiem, już nie była tak oczywista, ale o tym trochę później.

Dowódcą naszego okręgu ROAK, który obejmował mazowieckie tereny wokół Mławy, Działdowa, Lubawy, Brodnicy, Sierpca, Ciechanowa, Przasnysza, Nowego Miasta, Rypina aż po Prusy Wschodnie, Skrwilno, Iławę, Ostródę był [...] kapitan, a potem major Paweł Nowakowski „Leśnik”, „Lampart”, „Łysy”, „Kryjak”, człowiek wyjątkowy. Znaliliśmy go, bo sprawował przez sześć lat przed wojną funkcję wójta w moim Zieluniu. [...] Zieluń dużo zawdzięczał jego energicznemu zarządzaniu. Był świetnym gospodarzem gminy, organizatorem dobrym, sprawnym w cywilu i takim samym wojskowym, nic więc dziwnego, że świetnie zorganizował sieć oporu przeciwko nowej władzy, tym bardziej że również przez całą wojnę z Niemcami był w podziemiu, ukrywał się, musiał mieszkać po lasach. Z ramienia Związku Walki Zbrojnej, a potem Armii Krajowej, został komendantem na Zieluń i okolice, zorganizował siatkę konspiracyjną i zarządzał nią, bo znał znakomicie teren i ludzi, co ułatwiło mu powołanie i stworzenie struktur partyzanckich. Doświadczenia i kontakty zdobyte za Niemców przydały mu się, gdy

nastąpiła okupacja sowiecka Polski. Jak wielu innych znowu zostawił rodzinę dla sprawy wolności kraju.

Z „Leśnikiem” prawie wszyscy musieli się kontaktować przez łączników. Takie były wymogi bezpieczeństwa. Co oczywiste, my, łącznicy i żołnierze, nie znaleźliśmy dokładnie szczebli zarządzania, wiedzieliśmy tylko tyle, ile wiedzieć musieliśmy. [...]

Wiedziałem, że w naszym rejonie bezpośrednim podwładnym Nowakowskiego [...], a jednocześnie dowódcą kompanii, był Stanisław Balla „Sowa”, i że pod komendą „Sowy” był z kolei Franciszek Wypych „Wilk” ze swoim oddziałem. Oprócz tego w kompanii mieliśmy mniejsze grupy, drużyny, często dowodzone przez konkretnego chłopaka, ale niekoniecznie. Podziały nie były sztywne, żołnierze przechodzili z oddziału do oddziału na czas akcji, ale i w innych przypadkach (no przecież różnie bywało!), zawsze jednak po wyrażeniu zgody przez „Leśnika”. I mieliśmy drużynę do zadań specjalnych, najgorszej czarnej roboty, jej dowódcą [...] był mój brat Stefan „Maks”.

Oni wszyscy – pan Nowakowski, Balla, Wypych i jeszcze Andrzej Różycki „Zjawa” – dobrze się znali, już podczas wojny byli razem w konspiracji, w AK, pochodzili z naszych stron. Z całej tej czwórki tylko pan Nowakowski nie ujawnił się w 1945 roku. Ujawnili się natomiast „Sowa”, „Wilk”, „Zjawa”, ale aresztowania wśród niedawnych akowców zmusiły ich, jak wielu innych, do ponownego ukrycia się. Jednakże zanim UB dobrał się do



Fot. Jadwiga Krakowska/ze zbiorów Ignacego Sarneckiego

► Żołnierze batalionu „Znicz” ROAK, od lewej: Mieczysław Sarnecki „Rosolek”, Ignacy Sarnecki, Stefan Sarnecki „Maks”, NN „Zielonka”, 1946 rok



„Zjawy”, zanim go rozpracował, wstąpił on do miejscowej milicji, nosił mundur, brał udział w różnych akcjach MO przeciwko złodziejom i bandytom, ale też ludziom uznanym przez UB za wrogów ludu. Podobnie „Sowa”. Słyszałem, że zrobili to na rozkaz „Leśnika”, że celowo, przez organizację zostali tam skierowani, bo nasz dowódca uważał, że trzeba od środka poznać nowe organy państwa, ich metody działania i cele. Inna wersja głosiła, że oni najzwyczajniej w świecie chcieli pracować w tych strukturach, bo myśleli, że będą odpowiednikiem przedwojennej policji, przecież nikt nie sądził, że milicja będzie organizacją polityczną. Jakkolwiek by jednak było, już wkrótce okazało się, że był to strzał w dziesiątkę, bo ci, co wstąpili do MO, a jeszcze lepiej do UB, mieli dostęp do informacji ważnych dla organizacji niepodległościowych – np. do listy konfidentów, wiedzieli o planowanych akcjach przeciwko podziemi niepodległościowemu itd., a w razie wpadki „nasi” funkcjonariusze w MO i UB mogli pomóc w ucieczce, co się nie raz, nie dwa okazało zbawienne dla naszych ludzi. Niestety, nie tylko my mieliśmy wtyki u nich, także oni mieli wtyki w naszych szeregach, zwłaszcza w późniejszym czasie.

„Sowa” i „Zjawa” nie napracowali się w MO, bo gdy UB przeprowadził wewnętrzną weryfikację milicjantów, zaraz dowiedział się o ich wojennej przeszłości; zostali aresztowani i właśnie przy pomocy „naszych” wtyk uciekli. Co im zostało? Tylko las i walka.

Kim byli nasi dowódcy? Jednymi z nas. Stanisław Balla „Sowa” mieszkał w Lidzbarku Welskim, pod Jamielnikiem. Jamielnik leży między Zieluniem Nowym a Lidzbarkiem [...]. Podczas wojny Balla nie podpisał volkslisty, więc jego żonę i dzieci Niemcy wyrzucili z domu, potem żonę i najstarszego syna aresztowano, biedna rodzina cierpiała i za Niemców, i za ruskich. „Sowa” był żyty z lasem, znakomicie imitował głosy ptaków. Pamiętam, jak składał ręce i tak dmuchał, że wydobywał głos, zupełnie jakby odzywał się puszczyk, każdego zmylił, dlatego najpierw wołali na niego właśnie „Pusz-



► Ignacy Sarnecki w 2014 roku

czyk”, jednak z czasem zaczął huczeć jak sowa, bo ten puszczyk źle się kojarzył. U nas mówiono, że puszczyk krzyczy na czyjąś śmierć, a i bez tego mieliśmy trudne życie. „Sowa” był świetnym dowódcą, ale ponurym człowiekiem, służbistą; mieliśmy przed nim respekt, dziwnie patrzył, przenikliwie i zimno, jakby przewiercał nasze myśli; tak zmierzył człowieka od góry do dołu, że ciarki przechodziły. Pierwszy raz spotkałem go, gdy odwiedzałem bunkier medyczny, kiedy mój brat Mietek „Rosolek” leczył rany, jakoś na początku 1946 roku. Wówczas byłem jeszcze łącznikiem i do głowy mi nie przychodziło, że moje życie się zmieni i będę musiał ukrywać się w lesie, a „Sowa” będzie moim dowódcą. Kolejny raz zobaczyłem go, gdy składałem przysięgę party-

zancką. Jego oddział był dla wielu z nas pierwszym etapem partyzantki, on próbował nowych ludzi w akcjach czasem pozorowanych, czasem prawdziwych, lecz drobnych, oceniał, czy ktoś się nadaje. Twardy był. Mnie nawet polubił, ale czułem, że jest nieufny. Dlatego fakt, że Stefan zabrał mnie od „Sowy” do swojej drużyny, był mi na rękę, bo tam służyli prawie sami zieluniacy, ludzie, których znałem sprzed wojny, koledzy brata i moi, wiedziałem, kto jest kim, u „Sowy” zaś oraz u „Wilka” znałem jedynie pseudonimy kolegów.

„Wilk” był inny. Wypychowie przed wojną mieli nowoczesny na tamte czasy zakład mechaniczno-ślusarski w Lidzbarku Welskim, byli dość bogatą rodziną. Najstarszy z trzech braci, Franciszek Wy- ►



nych, został właśnie jednym z dowódców naszych roakowskich oddziałów, przybrał pseudonim „Wilk”. Facet był przystojny, fajny, wesoły, pożartował, poklepał po plecach. Lubiliśmy go, nie trzymał dystansu, ale do głowy by nikomu nie przyszło, żeby mu się sprzeciwić. Pomimo koleżeńskich gestów nie uważaliśmy, że spoufalał się z nami – miał posłuch, trzymał rygor w oddziale. Odważny, w akcji szedł jak burza, był z tych, co się nie poddają. Nie pamiętam, kiedy poznałem „Wilka”, chyba podczas akcji w Iławie.

Andrzej Różycki „Zjawa”, syn dziedzica z Wlewska pod Lidzbarkiem Welskim, był taki bardziej spokojny, małowówny, raczej nieprzystępny dla obcych, ale koleżeński, sympatyczny. Był wysoki, wyższy ode mnie, pamiętam, że miał zachrypnięty głos. W naszych oddziałach mieliśmy dwóch Różyczaków – „Zjawę” i jego brata, Władysława Różyckiego „Dzika”. Jędrzek był chyba młodszy. Obaj Różyccy, „Zjawa” oraz „Dzik”, byli w świecie Nowakowskiego, co oznaczało, że jako nieliczni mieli do niego bezpośredni dostęp. Podczas mojego pobytu w oddziale spotkałem „Zjawę” raptem trzy, może cztery razy. [...]

Nasze oddziały ROAK były znaczącą siłą. Balla miał około siedemdziesięciu ludzi, „Wilk” około trzydziestu, „Maks” kilkunastu; tyłu chodziło regularnie, oprócz tego mieliśmy rezerwy, tak że w krótkim czasie można było zwołać pod broń do dwustu żołnierzy przygotowanych w każdej chwili do walki, do pomocy. Dodatkowo czasem, jeśli sytuacja wymagała, robiliśmy zgrupowania, koncentracje naszych sił, wtedy jak się połączyły oddziały działające w całym północnym Mazowszu i dalej, to w jednym miejscu było i do trzystu ludzi. [...]

Każdy dowódca miał przyporządkowany teren, a jeśli na inny chciano wejść, przekroczyć granicę powiatu itd., należało uprzedzić, wysłać łączników – to zawsze musiało być uzgodnione. Bo czasem konieczne było przejście poza swój teren, zwłaszcza gdy była koncentracja oddziałów na wspólną akcję albo podczas ucieczki.

Rejonem oddziałów, w których chodziłem, były m.in. Działdowo, Okalewo, Rypin, Nowe Miasto, Ryki. Te lasy, torfowiska,

bagniska znaliśmy jak własną kieszeń, człowiek miał nocą oczy lepsze niż obcy w dzień. Ktoś, kto nie znał terenu i nieostrożnie wszedłby w głąb lasu, zgubiłby się na amen. My setki kilometrów tam schodziliśmy, zwłaszcza w roku 1946 i zimą na 1947, wtedy robiliśmy na nogach po siedemdziesiąt, osiemdziesiąt kilometrów w nocy, żeby dojść na rano, jak ledwie zaczynało się rozwidniać, do jakiejś parceli pod lasem, do leśniczówki, żeby odpocząć, najeść się, no i żeby nas nikt nie widział. Czasem w mniejszych grupach rozlokowywaliśmy się w jakiejś osadzie, przebieraliśmy się w cywilne ciuchy, oczywiście obserwacja była wystawiona, nie miało prawa być zaskoczenia, byliśmy czujni, przecież były robione pacyfikacje, a my, chociaż mieliśmy swoje wtyki w milicji, w UB, jednak o wielu nie byliśmy informowani, choćby dlatego, że nikt nie wiedział, gdzie spędzimy kolejny dzień i kolejną noc. Zmienialiśmy miejsca stacjonowania ze względu na bezpieczeństwo, bo przebywanie zbyt długo w większej grupie w jednym miejscu nie było bezpieczne. Ktoś z konfidentów mógł nas wypatrzeć i donieść do UB. Poza tym ludzie – zarówno koledzy z oddziału, jak i pomagający nam – wpadali w łapy bezpieki i bici, torturowani, niekiedy wydawali nasze meliny, przecież ubecja miała wyrafinowane barbarzyńskie metody maltretowania ludzi. Ale nasze marsze stanowiły także jedną z metod utrzymania gotowości bojowej oraz wojskowej dyscypliny w oddziale. Przecież w oddziale walczyli różni ludzie, nie tylko wojskowi, nie tylko twarde charaktery, także nauczyciele, inteligenci, nawet słabeusze, jak choćby [...] Stach Kowalewski, syn akuszerki, który zupełnie się nie nadał do naszego leśnego życia. Ale takich było więcej.

Dyscyplina w roakowskich oddziałach panowała prawdziwie wojskowa, przecież byliśmy wojskiem. Wszystko trzymał w ryzach dowódca. Nie wolno było nic podejmować samodzielnie, na własną rękę, żadnych akcji, żadnych kroków. No, chyba że ktoś akurat niespodziewanie znalazł się w zasadzce lub nagle w ogniu walki w nieprzewidzia-

nych okolicznościach, ale to zrozumiałe. Normalny tryb wymagał zgody dowódcy np. na przepustkę, na przeniesienie się z oddziału do oddziału itd. Wyroki na zdrajców, konfidentów zapadały na wyższym szczeblu, oddział dostawał tylko rozkaz do wykonania, wszystko jedno, czy to było ostrzeżenie, czy kara śmierci. Z tego, co wiem, wyroki śmierci na naszym terenie podpisywał jedynie „Leśnik”, ale podobno w specjalnych okolicznościach mógł taką decyzję podjąć również „Sowa”, nie czekając na formalną akceptację „Leśnika”.

Skoro regularne wojsko, to i regulaminowe mundury. Chodziliśmy przeważnie w angielskich wojskowych bluzach, mundury wcześniej, za Niemców, partyzanci dostawali ze zrzutów, potem trzeba było zdobyć w akcji na magazyn wojskowy lub bezpieczki. Jeszcze gdy przyszedłem do oddziału, dostawaliśmy regularnie dekady w dolarach, potem w złotówkach, z czasem było coraz gorzej z regularnością wypłat, ale je otrzymywaliśmy.

Wielu z nas nosiło ryngrafy, ale wspólną mszę świętą pamiętam jedynie raz, to było na jakieś święto, trzeba było obstać kościół. Cóż, obraz całości już mi się zatarł. Pamiętam też księdza, który nas czasem spowiadał, taki niestary, niemłody, miał długie włosy za ramiona, ale nie wiem, z jakiej był parafii. Rzadko go widywaliśmy, sam był w niebezpieczeństwie, biedny, bezpieka przecież niszczyła księży, zastraszała, działała zupełnie jak Niemcy. Natomiast zawsze zaczynaliśmy dzień od modlitwy oddziału i śpiewu pieśni „O Boże, któryś jest na niebie, wyciągnij sprawiedliwą dłoń”. W ogóle śpiew, piosenki powszechnie znane i nasze, partyzanckie, były wpisane w naszą codzienność, były z nami zawsze, wypełniały nam życie. Śpiewaliśmy podczas długich marszów, podczas wieczornego odpoczynku, przy pracy w polu, gdy pomagaliśmy gospodarzom, którzy nas przygarnęli na kwaterę itd. Były naszym żalem za normalnym życiem, naszym bólem rozłąki z bliskimi, tęsknotą za marzeniami, za lepszą przyszłością, więc niestety przeżycie smutne. ❀